

Etap 6 – Maroko

FOT. KUBA MARCINIAK

A photograph capturing a moment of triumph and celebration. Three individuals are in the foreground, jumping joyfully. The man on the left wears a green long-sleeved shirt and denim shorts. The woman in the center is dressed in a traditional Moroccan outfit, featuring a white patterned dress with a black sash and a brown headscarf. The man on the right is wearing a light blue jacket with a red patch and khaki pants. They are all holding tall white poles topped with red flags that feature a green star and crescent. The background shows a paved area with palm trees and other people, suggesting a public square or festival. The sky is clear and blue.

Rak wyrollowany!

Rak'n'Rolling to opowieść o odwadze, sile i szczęściu. To opowieść o miłości do podróżowania rowerem, do poznawania świata, a także samego siebie. Rak'n'Rolling to opowieść o ludziach i ich marzeniach...

Eliza Czyżewska



Kwiecień 2012 roku. Powoli zaczyna się wiosna. Jesteśmy w Warszawie. W głowach Agnieszki i mojej wciąż niespokojnie od kilku lat kołocze się pomysł zorganizowania wyprawy, która pomogłaby osobom chorującym na raka. Dla Agnieszki to także podróż osobista, kilka lat temu na nowotwór zmarła jej mama. Nie godzimy się na to. Tym bardziej chcemy pomóc – tym, którzy takiej pomocy potrzebują. Jednak ciągle coś staje nam na drodze, ciągle jest za wcześnie, zbyt wiele niewiadomych. Magda Prokopowicz (założycielka Fundacji Rak'n'Roll, boska mama i genialna szefowa) oraz Marta wierzą w nas i dopingują do działania.

– Nie możemy już czekać. Musimy zarzykować, jeśli nie teraz – to już nigdy – stwierdzamy pewnego dnia. Potęgujemy działania. Jesteśmy już tak blisko. A jednak... W czerwcu, po wielu latach walki z rakiem odchodzi Magda. Zostawia nam tak wiele, a jednak... bez niej poruszamy się trochę po omacku. Nic nie jest takie, jak było. Czekamy. Pewnego dnia kontaktują się z nami Jacek (obecny prezes fundacji) i Michał. Zdzyszana pędzę moim wysłużonym rowerem na spotkanie z nimi. Jest lato, a w Warszawie jak zwykle korki. Tłok, gorąco... Wbiegam spóźniona. Chłopaki już czekają. Obaj zakochani w rowerach. Chyba się dogadamy – myślę sobie i uśmiecham się.

Pokazaliśmy już, że jesteśmy bezkompromisowi, kreatywni i pełni energii. Czas, żeby pokazać, że jesteśmy też twardzi i odważni.

12 października. Pałac Ujazdowski w Warszawie. To stamtąd punktualnie o godzinie 17.30 wyruszyła nasza sztafeta na Zwrotnik Raka. To, co jeszcze kilka miesięcy temu było tak odległe i nierealne, właśnie wtedy stało się rzeczywistością. Rozpoczęła się nasza podróż. Wtedy nie spodziewaliśmy się jeszcze – jak niezwyczajka...

Piotrek: Taka ekspedycja na życiowy Zwrotnik Raka może się przydarzyć każdemu z nas.

13 października, sobota, godz. 4. Warszawa. Jest ciemno, zimno i siępi deszcz ze śniegiem. Poznajemy Piotrkę Pogona. Geograficzny Zwrotnik Raka przekraczał wielokrotnie. Najczęściej na pokładzie samolotów. Życie sprawiło jednak niespodziankę i wymusiło przekroczenie „rakowego limes” jeszcze trzykrotnie. W zupełnie niespodziewanych i trudnych okolicznościach. To były prawdziwe, życiowe Zwrotniki Raka.

– Po tych „wyprawach” pozostało wiele śladów na ciele i duszy, ale jedno jest pewne. Odmieniły moje życie i spojrzenie na świat i ludzi. ►



FOT. KAROLINA SYPNIEWSKA

Przyroda
zapierająca
dech w piersiach,
Maroko

W swojej codzienności zapominamy często, że taka ekspedycja na życiowy Zwrotnik Raka może się przydarzyć każdemu z nas – opowiada.

Teraz Piotrek udowadnia sobie i nam, że można. Dokonuje czegoś, co wydaje się nie-realne większości z nas – przejedzie dystans z Krakowa do Warszawy w kilkanaście godzin. Pierwsze 100 kilometrów, przez większość czasu w ciemności, poszło w niespełna cztery godziny. Są żarty, rozmowy. Nie ma mowy o raku, chorobach. Zero narzekania, bo po co. Im jednak dalej, tym trudniej, a kolejne kilometry upływają już pod znakiem większego zmęczenia. Na szczęście deszcz przestał padać, a chłopaki zdecydowali się na dłuższy odpoczynek. Łukasz postanowił odłączyć się od ekipy i spokojnie zjechać z trasy. Radek i Piotrek napierali dalej – by zgodnie z założeniami, w pięknym stylu, dotrzeć wieczorem do Krakowa. Cel osiągnięty! Rak wyrollowany! Jesteśmy w Krakowie. Następnego dnia odbywa się uroczyste przekazanie pałeczki pod Smokiem Wawelskim. Na miejscu jest tylko Smok i Piotr, no i wszechobecny deszcz. Konrad patrzy z niepokojem. Od kilku godzin nie przestaje padać. Trochę średnio – jak na wyprawę rowerowe. Trzeba jechać, nie ma rady. Przejmuje od chłopaków pałeczkę i rusza wraz z Piotrkim w stronę Cieszyna. Po kilku godzinach jesteśmy już na granicy.

Na raka przez Czechy. Nigdy więcej nie zabierzesz nikomu mamy!

Na trasę Rak'n'Rollingu wkraczają Ewa i Dominik. Oboje zaprawieni w boju. I dobrze, bo do pokonania przed nimi ponad 500 kilometrów przez piękne, choć górzyste tereny Czech. Podejmują się tego wyzwania. Mają pewne porachunki z rakiem... Mama Dominika byłaby z nich dumna. Pierwszy

dzień i od razu 120 kilometrów. – Widać, że słońce chce jechać z nami, pogoda jak na zamówienie – cieszą się.

Po kilku kilometrach pojawiają się góry. Pierwsza, druga, trzecia... potem już trudno je zliczyć. Twarze jednak uśmiechnięte. Dlaczego? – Bo nasza trasa jest jedna i słuszna. Na Zwrotnik Raka! – mówią z przekonaniem. Do samego Ołomuńca wiedzie przepiękny szlak prowadzący przez zabytkowe, malownicze wsie i miasteczka, lasy, szlaki winnic i zakładów piwowarskich. Droga piękna, ale męcząca. Kolejne dni jak zaczarowane rozpoczynały się od widowiskowej mgły. A po drodze czeska kofola z guaraną i górkę, parki w rohliku (czeski hot dog) i górkę, piękne zamki i górkę, parki krajobrazowe i... górkę. Brno, niestety już po zmroku. Dzień za krótki. Zmrok zapada około godziny 18. Znów światła i kamizelki w ruch. I znowu 130 kilometrów na liczniku. Pędzimy przez łąki i pola, przez lasy w ciemną noc. Uwaga! Samy! Ależ napędziły stracha. Nie ma jednak czasu na strachy. Nogi już drętwieją. I po co na koniec to wzniesienie? Ale my wiemy... Jak jest pod górkę, to gdzieś musi być z górkę. Dziewięć ostatnich kilometrów mkniemy w dół. Do Czeskich Budziejowic. Poranek zimniejszy niż zwykle. Zakładamy kilka warstw ubrań na siebie, zapalamy czołówki i czekamy... aż z mgły wyłoni się zmiana.

Do Mediolanu – bo nigdy nie wiemy, komu pomagamy.

Do Czeskich Budziejowic po wielu perturbacjach docieram przed trzecią nad ranem. Miasto wita mnie wszechogarniającym zmrokiem i ulewnym deszczem. Od rana na zmianę otrzymuję deszcz, śnieg, deszcz, śnieg, wiatr, deszcz, górkę i zjazd. Dwadzieścia procent w górę i kilka procent w dół. Muszę jechać, każda próba zatrzyma-

nia się i odpoczynku kończy się powolnym zamarzaniem. Zmęczona, przemoknięta, przemrożona na wszystkie strony tuż po zmroku docieram do Linz. Następny dzień wita śniegiem i Kubą, który dołącza do mnie. Mamy co robić – według wyliczeń, codziennie musimy pokonać minimum 150 kilometrów.

Noc zastaje nas na przedmieściach Salzburga. Na liczniku niestety tylko 121 kilometrów, a my rozglądamy się z rozmarzeniem za miłym miejscem na biwak. Po spokojnej, choć wilgotnej nocy w przydrożnych krzakach droga staje się przyjemna. Pogoda w Austrii nie może się zdecydować – raz zima, raz odwilż. Standardem są trzy warstwy ubrań, a i tak ciepło jest tylko na stacji benzynowej. Znowu zastaje nas noc, oboje leciutko dygoczymy z zimna. Nie damy rady w namiocie – po wczorajszej nocy jest cały mokry, nasze śpiwory też. Pokonaliśmy 136 kilometrów i szukamy ciepłego łóżka. Kolejny dzień to droga do granicy Włoch – granicy ciepła.

Mijamy Innsbruck i rozpoczynamy wspinaczkę na odcinku około 20 kilometrów – jest miło, podoba nam się. Kilka minut po godzinie 20 przekraczamy kolejną granicę. Viva Italia! Teraz już tylko słońce, plaża. Przed nami 60 kilometrów delikatnie w dół. Będzie zjazd, będzie zimno. Czwarta warstwa, druga czapka, drugie rękawiczki i stop. Za zimno, idziemy spać. Od rana kilometry wchodzą jak szalone, ale po zmroku robi się średnio. Zaczyna mżyć i spada temperatura, wjechaliśmy w góry. Zaczęło lać. Woda wypływa nam uszami, butami... jest wszędzie. Mamy trochę szczęścia, trafiamy na ukrytą przy drodze jaskinię. Śpimy.

Przed nami ostateczne starcie. Wstajemy wcześniej rano. Musimy dotrzeć do Mediolanu, a to ponad 200 kilome-



trów. Ryzykujemy i wbijamy się na trasę szybkiego ruchu. Niedługo czekaliśmy, żeby pożałować tej decyzji. Trasa poprzecinana była tunelami o długości 200, 800, 150, 2500, 3800, 1500 metrów... Tego już za dużo. Nie wierzyliśmy – po 760 kilometrach wyszło słońce, błękitne niebo... Dawno się tak nie cieszyłam.

Rutka: Najważniejsze, że w tym wszystkim się nie poddajemy.

Na lotnisku w Mediolanie poznajemy Anię – Rutkę. Przejechała już swojego raka. Badania kontrolne są dobre, zatem wierzymy, że wszystkie męczarnie przyniosły oczekiwany efekt. Teraz zamierza wrócić do dawnych aktywności mniej lub bardziej ekstremalnych. Wyjazd na Zwrotnik Raka to dla niej okazja do rozpoczęcia nowego etapu. Każdy kolejny kilometr był jej pierwszym na wyprawie rowerowej. W trudnych momentach Anię ratowały powtarzane jak mantra słowa Agi: – Nie ma się o co martwić, spokojnie damy radę. I co ciekawe, tak faktycznie było! Jak tylko złapałyśmy rytm jazdy, narzuciłyśmy tempo, zaczęła się prawdziwa przygoda. W trakcie postojów czerpałyśmy moc z włoskiej kawy, a przerwy na trasie pozwalały na zregenerowanie sił.

Po przejechaniu 40 kilometrów w deszczu, chwilami przechodzącym w ulewę, już nic nie było straszne! – Ale były też chwile słabości, których przyczyną u mnie stał się nieznośny ból kolan. Walczyłam z nim przez ostatnich pięć dni. Chwilami było naprawdę ciężko, ale dłuższe przerwy w jeździe i nadrabianie krótkich odcinków koleją pomogły mi wytrwać do końca. W najtrudniejszych momentach, za namową Agi, słuchałam muzyki. Podczas gdy umysł był zajęty, nogi – chociaż zmęczone – kręciły do końca – wspomina Ania.

Bywały dni słoneczne, przeżabawne, z pięknymi widokami, ale bywały i trudne, pochmurne, deszczowe, bolesne. Tak samo jak bywa w życiu i chorobie. Najważniejsze, że w tym wszystkim nie poddajemy się... Po siedmiu dniach podróży dotarliśmy do Nimes.

Ania: Marzenia spełniają się niespodziewanie.

– Nimes to magiczne miejsce. Tuż przed startem poczułam lekki strach porównywalny do tego w trakcie leczenia. Byłam o włos od powrotu. Ale poczułam, że nie mogę się poddać. Nie chcę. I dzięki Ci, Boziu, bo od tego momentu zaczęła się jedna z najpiękniejszych przygód w moim życiu – opowiada Ania. – Owszem, zdarzały się momenty, kiedy wyrывał mi się subtelny bluzg, ale były one relatywnie nieliczne. Zaliczyłam kilka upadków, bo sakwy przeważały, ale to tylko delikatny chrzest bojowy. Po jednym z nich zatrzymaliśmy się na kawę. Najlepsza kawa na świecie! Następnego dnia obudziłam się pierwsza. Ćwiczenia, masaż limfatyczny. Mogę być z siebie dumna. Zakwasów brak. Dzień momentami trudny, ale niebywały. Wszędzie ścieżki rowerowe. Dojechaliliśmy do przepięknego miasta nad morzem – Frontignan. Cóż za elegancja, co za splendor. I w końcu morze! – opowiada Ania.

I dodaje: – Pod koniec dnia zaczęła się dla mnie najtrudniejsza część. Do Agde dojechaliliśmy już po zmroku. Puste przedmieścia, wyludnione, brzydko. Oprócz tego jezdni non stop pod kątem. Miałam dość. Nie polubiłam Agde. Na szczęście wstał nowy dzień. Po 25 kilometrach pierwszy postój w Sérignan, pizza i bezcenna kawa. Francja jest naprawdę niezwykła. W Polsce jechalibyśmy drogami pamiętającymi wóz Drzymały, a tu przepiękne ścieżki w przestrzeniach między miastami. Zaczęło wiać. Poczułam, że to mnie przerasta. Szczególnie, kiedy – jadąc pod kolejną górę – czułam, że wiatr mnie stopuje jak jakaś paskudna ściana. Ciężko polubić swoje ograniczenia. Ale to też ważna lekcja. Kolektywnie podjęto decyzję, że muszę odpocząć. Nie jest trudno się zajeżdżać i stracić prawdziwą radość z podróży. Odległość jest rzeczywiście wartością względną. Dziesięć kilometrów przez kawałek Pirenejów to najdłuższe dziesięć kilometrów w moim życiu. Ale widać postęp. Wcześniej nie dałabym rady podjechać pod te wzniesienia. Teraz tak. Kolejna granica przesunięta.

Droga do Barcelony w większości bezpośrednio przy plaży. Dojeżdżamy do miasta. Po drodze mijamy slumsy nadmorskie. Zderzenie dwóch rzeczywistości. Docieramy na miejsce. Słynny kościół Sagrada Familia wywiera piorunujące wrażenie. Cóż za boski zmysł twórczy. Maestro Gaudi. Najbardziej znana ulica w Barcelonie – La Rambla – wieczorem jest obleżona przez morze ludzi. Pięknych, barwnych, uśmiechniętych.

Jak coś wydaje się nieosiągalne – trzeba to po prostu zrobić.

Magda opowiada, że Barcelona wita słońcem. – Już pierwszego dnia dostajemy w kość ostrymi podjazdami, setką na liczniku, wiatrem w twarz, zimnem i wieczornym prysznicem prosto z nieba. Ale nie ma, że boli. Z uśmiechem na twarzy, przygodami, wiatrem we włosach, wsparciem poznanych po drodze wspinających ludzi przemijamy do przodu, bo cel słuszny i robimy, co kochamy – podróżujemy na rowerach. Do przejechania ponad 600 kilometrów, a my mamy niewiele czasu. Przez kolejne pięć dni łątamy dętkę za dętką (czasem i po parę razy jednego dnia), mijamy kolejne plantacje słodkich mandarynek i pomarańczy. Niekiedy przypadkiem zjedziemy na autostradę, po której rowery mają kategoryczny zakaz jazdy, ale co tam...

Cel to Alicante, gdzie następna ekipa przejmie od nas książeczkę-pałeczkę z naszymi antyrakowymi marzeniami. I udaje się! Alicante wita nas weekendowym, wieczornym imprezowym ferworem i kolejną fantastyczną niespodzianką podczas tej podróży! Totalnie spontaniczną propozycją noclegu w najwyższym budynku w mieście z fantastyczną panoramą miasta!

Basia: To, co dodaje nam skrzydeł.

Kiedy w ubiegłym roku wykryto u Basi nowotwór jelita grubego, rozpoczął się w jej życiu zupełnie nowy etap. – Po diagnozie zdałam sobie sprawę, jak bardzo chcę jeszcze żyć. Jak bardzo nie chcę zostawić małej córki, chłopaka i bliskich – opowiada.

Nie poddała się, przeszła półroczną chemioterapię. W ubiegłym roku usunięto jej ►

Bywały dni trudne, bolesne, ale więcej było tych z pięknymi widokami, takimi jak ten

FOT. KAROLINA SYPNIEWSKA



nowotwór. Teraz uczy się żyć po chorobie. – Ostatnio dowiedziałam się od lekarza, że jestem zdrowa. Teraz. Nie wiem, czy już na zawsze, ale tego nie wie nikt z nas. Pomysł na akcję wydał mi się intrygujący i dodający siły! Bardzo chciałam wziąć w niej udział, bo już sama myśl o takiej możliwości działa uzdrawiająco. Przez ten rok powoli uczyłam się żyć z chorobą. Poznałam też innych chorych na raka. Uderzyło mnie, jak tłoczno jest po tej stronie muru, jak bardzo życzliwi, wspierający są ludzie wobec siebie.

Basia zrozumiała, że rak to nie wyrok, że leczenie nie odcina od świata, pracy i przyjemności, choć trudniej się ich doświadcza. – Jeszcze rok temu leżałam pod kropłówką w szpitalu, a dziś mogę wsiąść na rower i zmierzyć się z ogromnym wysiłkiem. I to dodaje mi skrzydeł – wspomina.

Monika: Wiatr we włosach, pot na plecach i zapach powietrza – to daje powera, ładuje akumulatory.

Monika osiem lat temu chorowała na raka jelita grubego i pomyślała, że skoro tamtego raka pokonała, to może i z tym, symbolicznym, osadzonym na zwrotniku też jej się uda wygrać? Opowiada: – Europa tonie w słońcu, a Afryka w chmurach. Przed wejściem na prom pożegnała nas tęcza. Europa machała zgrabnie wiatrakami na pożegnanie, a Afryka zakryła swoją twarz chmurami jak chustką, jakby podkreślając, iż jest muzułmańską ko-

Zwrotnik Raka coraz bliżej

biętą. Maroko stało przed nami otworem. Skierowaliśmy się w kierunku Assilah. Pierwsze 55 kilometrów pokazało, iż możemy zapomnieć o szerokim poboczu, równej nawierzchni i anonimowej jeździe. Marokańskie samochody miały nas, trąbiąc do oporu, a przez otwarte okna ludzie wystawiali podniesione w górę kciuki i uśmiechnięte twarze. Wesoło krzyczeli „Yalla! Yalla!”, co rozumieliśmy jako „Dalej! Naprzód!”.

A dalej: – Pierwszy wjazd pod górę sprawił, że opróżniłam bidon do dna. Lewe kolano bolało najbardziej. Po pierwszych dziesięciu kilometrach myślałam, że będę płakać. Po dwudziestu płakałam. A po trzydziestu już nawet na łzy nie miałam siły. Licznych wzniesień i podjazdów nie wynagradzały nawet krótkotrwałe i niezauważalne zjazdy. Bo kiedy przy zjeździe z góry trzeba zmniejszać prędkość, bo w oczy wieje wiatr, jest naprawdę bardzo ciężko. Przy drodze w rowach rosły kaktusy. W moim kolanie też! Miałam ochotę odgryźć własną kończynę. Marokańczycy nadal krzyczeli „Yalla! Yalla!”, a ja zaczynałam czwartą dziesiątkę kilometrów, która wreszcie wynagrodziła mi pierwsze trzy! A jednak! Wytrwali będą nagrodzeni! To był długi, kręty, cudowny zjazd. Z wiatrem w plecy. Kolejny dzień przyniósł jednak ulewne deszcze, a my czekaliśmy na poprawę pogody. Po jednodniowej prze-

rwie bardzo chcieliśmy jechać dalej. W drodze czekały nas widoki, których nigdy nie zapomnę. Ulewa rozmyła błotnistą ziemię. Dziurawy asfalt z urwanym poboczem zwężał się niejednokrotnie i urywał. Po obu stronach drogi wyrastały nam wioski pełne ludzi, dzieci, zwierząt. Płoty poutykane folią i trzcina, domy ulepione dosłownie ze wszystkiego, co możliwe, i setki anten satelitarnych na dachach. Wjeżdżając do takiej wioski, wzbudzaliśmy sensację. Mężczyźni stali przy drogach (oni chyba głównie zajmują się staniem lub kucaniem) i bacznie nas obserwowali, szczerząc bezzębne usta. Kobiety skromnie podnosiły wzrok znad chustek, by pomachać nam i szybko się odwrócić. Dzieci za to biegły stadnie z wrzaskiem, by nas poklepać lub dostać kawałek czekolady. Zjechaliśmy nad sam ocean i wjechaliśmy na nieprawdopodobnie piękną trasę, która prowadziła nas przez wiele kilometrów. Z prawej strony nieustannie obecny ocean to szumiał łagodnie, to ostro i gwałtownie huczał, rozbijając białe fale o rude klify. Z lewej mijaliśmy osiedla pełne życia, okrzyków, wywieszonych prań i gapiących się na nas ludzi. Za osiedlami rozciągały się nieraz, jakby odwrócone od życia slamsowiska.

Gosia – agent 007 z licencją na zabijanie raka

Gosia niepytana o zdanie wzięła udział w dwóch akcjach: w 2004 roku rozwaliła pierwszego raka na kawałki, a w 2011 roku nastąpił drugi atak i trrach! Przeciwnik leży na łopatkach! Biorąc udział w wyprawie, zamierzała go rozjechać i wyrolować. – Po co to robię? Chcę pokazać sobie, rodzinie, światu, a przede wszystkim tym, którzy zmagają się z chorobą, że rak to wyzwanie, a nie wyrok. Synek mojej przyjaciółki powiedział: „Ciocia, to nawet warto mieć raka, żeby pojechać na taką wyprawę”. To przygoda mojego życia. Obiad w domu i w towarzystwie samego muły – ugościł nas wspaniale. A spotkaliśmy go po drodze do Essaouira, ludzie są wspaniali. Agadir zdobyty. Teraz czeka mnie tylko kąpiel w oce-

anie. Jestem przeszczęśliwa. Warto mieć marzenia. Do zobaczenia Maroko. Na pewno tu wrócę. Przyroda zapierająca dech w piersiach: nowych, odbudowanych.

Rak'n'rolling – simply the best!

Ostatni dzień jazdy na Zwrotnik Raka miał być najwyżej przedostatnim. Nie myślałam o finiszu, o symbolicznym celu i końcu projektu. Liczyło się tylko to, że pedałujemy dla tych, co walczą z bestią. Czuliśmy, że musimy dać z siebie maksimum. Sahara Zachodnia to dzikie i bardzo klimatyczne tereny. Niedocenione i nieeksplorowane. Im bardziej na południe, tym coraz mniej ludzi, osad, za to więcej wojska i patroli kontrolnych. Czasu pozostaje mało, więc pedałujemy codziennie, ile się da. Droga piękna i malownicza, choć zdarza się, że wkrada się pustynna monotonia.

Po dziesięciu dniach jazdy drogowskaz wskazuje, że 150 kilometrów jest do Dakhli – miasta na Saharze Zachodniej, najbliższego położonego od Zwrotnika Raka. Co oznaczało około 180 kilometrów do celu. Byliśmy po trzech „Sahara kempingach” i choć to czysta przyjemność, to jednak już mocno zakurzona i przepełniona. Pojawiła się potrzeba luksusu – umycia się normalnie (w minimum czterech litrach wody). Tymczasem wiatr nam wyjątkowo sprzyjał, było jeszcze dość wcześnie, a cel nagle nabrał realnych kształtów. Jesteśmy już tak blisko. Pojawiła się pokusa, by zaatakować zwrotnik tego samego dnia. Walka z czasem rozpoczęła się już po przejechaniu 150 kilometrów. Na zegarkach godzina 17, czas, żeby rozglądać się za noclegiem. Do Zwrotnika – około 20 kilometrów. Twardo jedziemy. Wiatr cały czas w plecy, więc mkniemy, ile sił w nogach. Jest tablica! Radocha! Stajemy, grzebiemy w sakwach, poszukując flagi. Okazuje się, że nie jesteśmy sami. W ślad za nami przyjechali wojskowi oficerowie. Nieco zdziwieni zamieszaniem, tradycyjnie przeszli do rutynowych czynności. Kontrola i przesłuchanie. Oddaliśmy paszporty i kontynuowaliśmy sesję zdjęciową. Oficerowie, uświadomieni



FOT. Z. X. KUBA MARCINIAK

Etap 6 wyrusza na Zwrotnik Raka (Hiszpania)

przez nas, w jakim wydarzeniu biorą udział, pogratulowali nam i poczęstowali pomarańczami. Padło pytanie: co dalej? Zapadał zmrok, robiło się zimno, a na naszych licznikach 174 kilometry. Zapas wody marny, więc zgodnie stwierdziliśmy: – Teraz musimy złapać stopa. Będąc co najmniej 30 kilometrów do głównego skrzyżowania z drogą do Dakhli, musieliśmy brzmieć dość dziwnie. Ale nasi stróżowie poczuli się za nas odpowiedzialni. Jeden z nich wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał, drugi został z nami na zwrotniku. Ubieraliśmy się, gdy nasz żandarm zatrzymał wielką ciężarówkę. Okazało się, że kierowca wraca z Mauretanii bez załadunku, więc rowery wjechały do przyczepy, a nasza czwórka, z kierowcą i pomocnikiem do szoferki. Nowiutka, superwygodna ciężarówka sunęła miękko po drodze, nasi żandarmi w ramach obstawy – eskortowali nas, kierowca nadrobił prawie 100 kilometrów i zawiózł nas na przedmieścia Dakhli. Rak'n'rolling – simply the best! – opowiada Agnieszka.

Wierzmy, że raka można pokonać, tak jak można pokonać drogę za Zwrotnik Raka.

W wyprawie wzięło udział 30 osób, w tym 7, które pokonały już swojego raka. Wspólnie z podopiecznymi fundacji przejechaliśmy z Polski do Sahary Zachodniej i symbolicznie przekroczyliśmy Zwrotnik Raka. W trakcie ośmiu etapów przejechaliśmy przez Polskę, Czechy, Austrię, Włochy, Francję, Hiszpanię, Maroko i Saharę Zachodnią. Wspólnie pokonailiśmy ponad 5000 kilometrów. Dotarliśmy na Zwrotnik Raka. W ten sposób po raz kolejny pokazaliśmy, że to, co wydaje się niemożliwe, jest do zrobienia. Nie jest to proste, wymaga dużo siły, wiary, samozaparcia, czasem dużych nakładów finansowych. Ale warto podjąć tę walkę, bo nagrodą jest życie.

- W tekście wykorzystano wspomnienia, wypowiedzi i relacje uczestników projektu Rak'n'Rolling: Łukasza Palki, Piotra Pogona, Ani Rutkowskiej, Ewy Czyżewskiej, Dominika Fonroberta, Ani Iwaszuty-Dudek, Magdy Węglarz, Basi Niewiadomskiej, Moniki Dąbrowskiej, Gosi Ciszewskiej-Korony, Agnieszki Grudowskiej.

SPONSOR WYPRAWY:



SPONSOR SPRZĘTOWY:



WSPARCIE PROJEKTU:



PATRONI MEDIALNI:



SPONSOR SPRZĘTOWY WSPÓŁPRACA PRZY ORGANIZACJI PROJEKTU:

